

Śliwowska, Wiktoria

Skład Towarzystwa Naukowego Warszawskiego : (kadencja 1992-1994) : Wspomnienia pośmiertne : Stefan Kieniewicz (1907-1992)

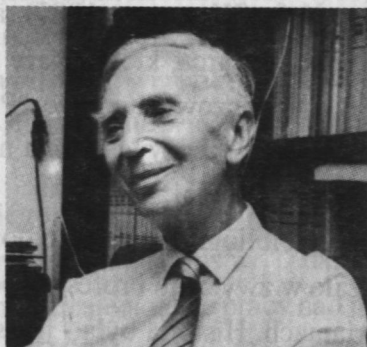
Rocznik Towarzystwa Naukowego Warszawskiego 55, 37-41

1992

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

STEFAN KIENIEWICZ (1907-1992)



Nie jest łatwo pisać o historyku tej miary co Stefan Kieniewicz. Tym trudnej, im bliżej się z nim współpracowało i im lepiej znało się Go jako prawdziwego Mistrza swego fachu. Do samego końca swego długiego i jakże obfitującego w wydarzenia życia profesor Kieniewicz zachował się jak dziejopis świadomy wagi słowa pisanego, świadectwa danego prawdzie, opisywanego w sposób obiektywny i uczciwy. W szpitalu, w przededniu operacji, chciał widzieć wokół siebie nie tylko najbliższych, ale także swych uczniów, bowiem im również miał jeszcze coś istotnego do powiedzenia: wypytywał więc, co robią i jakie mają plany, polecał ich uwadze rzeczy, do których przykładał sam wagę szczególną (na przykład, by nie zapominali o *Polskim Słowniku Biograficznym* i o udziale w wydawnictwach źródeł, a więc o pracach mniej efektownych i intratnych, ale za to przeznaczonych nie dla jednego pokolenia).

Całe życie zajmował się przede wszystkim swym ukochanym wiekiem XIX i sam, mimo iż był współuczestnikiem, i to aktywnym, wydarzeń XX stulecia, pozostał wierny zasadom tamtego, o którym powstawały - jedna za drugą - jego prace: monografie, edycje źródeł, opracowania pamiętników, rozprawy, referaty na sympozja i kongresy. Jak ogromna pozostała po nim spuścizna, wie każdy, kto tym okresem dziejów Polski się interesuje. Nie ma chyba potrzeby wymieniania tematów, które stanowiły przez długie dziesięciolecia obiekt twórczych poszukiwań Profesora: mówi o tym wystarczająco jasno sporządzona niezwykle skrupulatnie przez Barbarę

Konarską, Stefanię Sokołowską i Andrzeja Szwarca bibliografia zamieszczona w tomie pt. *Losy Polaków w XIX-XX wieku* ofiarowanym Mu w siedemdziesiątą rocznicę urodzin (Warszawa 1987), a także jej ciąg dalszy opracowany przez Andrzeja Szwarca, który ukaże się w najbliższym poświęconym Stefanowi Kieniewiczowi numerze "Przeglądu Historycznego". Był tego pisma redaktorem, rzeczywistym, a nie formalnym, „okładkowym”, do samego końca swych dni.

Bez mała tysiąc pozycji bibliograficznych to dorobek zaiste imponujący, zwłaszcza, że nie leżało w zwyczaju Profesora powielanie tych samych tekstów w różnych wariantach. Historia była - jak sam przyznawał - Jego wielką pasją, erudycja i zakres wiedzy o losach Polaków we wszystkich trzech zaborach tak ogromny, że nie musiał się powtarzać: kiedy trzeba było zabrać głos, dać jakiś tekst do książki jubileuszowej, numeru okolicznościowego itd., itp. - miał zawsze coś w zanadrzu ciekawego i nowego.

Obdarowywał swą wiedzą i doświadczeniem hojnie wszystkich, którzy się do Niego zwracali, wyszło więc spod Jego pióra mnóstwo recenzji wewnętrznych, udzielał niezliczonych porad i uwag, spisywanych na odwrocie starych maszynopisów i wręczanych z uśmiechem, niekiedy zażenowania, dzięki czemu mogły pojawić się prace młodszych badaczy i niejednego rówieśnika bez potknięć i błędów, bowiem potrafił je wytknąć i skorygować nie żałując na tę niezbyt wdzięczną pracę cennego czasu, a zarazem nie pognebiając nawet najbardziej niedouczonej autorów. Choć więc praca pedagogiczna nie należała może do Jego ulubionych zajęć, choć rozmawiając z podopiecznymi często zerkał na zegarek, czy aby nie czas już kończyć rozmowę, każdy kto chciał, mógł się naprawdę wiele od Niego nauczyć.

Uważał się za historyka starej daty, modne techniki badawcze nie pociągały go, choć cenił ich wyniki. Dopiero pod koniec życia przekonał się do pożytku płynącego z kserokopii, ale i tak mawiał był, iż bez własnoręcznych notatek trudno się historykowi obyć. Twierdził - nie bez racji - iż sterty nagromadzonych kserokopii, do których nie ma potem czasu zajrzeć, nie na wiele się zdadzą, natomiast przeczytany od deski do deski rękopis i wynotowane zeń najistotniejsze fragmenty na pewno łatwiej i szybciej

będą spożytkowane. Sam przepisał w archiwach na całym świecie tysiące dokumentów i tyleż samo, jeśli nie więcej, skolacjonował przed oddaniem do druku i w toku niezliczonych korekt. Uczył tych, którzy mieli szczęście z Nim i pod Jego kierunkiem pracować, szacunku dla źródeł, konieczności wielokrotnego ich sprawdzania, weryfikowania. Sam do takiej czysto, zda się, technicznej pracy zasiadał nie widząc w tym nic uwłaczającego Jego pozycji zawodowej. Przywiązywał ogromną wagę do właściwego opracowania edytorskiego tekstu, choć był zdecydowanym przeciwnikiem nadmiernego rozbudowywania przypisów. Znał dobrze cenę indeksów, a mając za sobą niejedno dziesięciolecie pracy nad nimi wyrażał przeświadczenie, iż - wbrew powszechnej praktyce wydawniczej - powinni przygotowywać je doświadczeni a nie początkujący badacze (warto o tym przypomnieć w chwili obecnej, kiedy to wiele wartościowych pozycji ukazuje się w nowo powstałych wydawnictwach w ogóle bez indeksów!).

Autentycznie cieszyła Go każda ciekawa praca, stąd też owa imponująca liczba opublikowanych recenzji, wśród których ostro krytyczne zdarzały się raczej rzadko, choć potrafił w sposób taktowny powytykać nonsensy i faktyczne błędy omawianych książek nie tylko początkującemu historykowi. Radość sprawiała mu też sama praca w archiwach i działach rękopisów, toteż w tzw. środowisku krążyła niejedna anegdota, jak to w najpiękniejszych zakątkach świata można Go było spotkać przede wszystkim pochylonego nad zakurzonym poszytem, do którego nikt od stulecia nie zaglądał. Z owych licznych podróży przywoził - o czym miałam już okazję wspominać - najcenniejsze we własnym mniemaniu podarunki, którymi obdarzał niejednego: przepisane własnoręcznie świadectwa minionej epoki mogące się przydać pracującemu nad danym tematem koledze. Bo też cechowała go niezwykła szczodrość zawodowa, nie często spotykana wśród badaczy w ogóle, nie mówiąc o historykach.

W trudnych dla historyków czasach, jakie nastąpiły bezpośrednio po wojnie, usiłował przystosować się do nowych wymogów, co znalazło wyraz w doborze tematyki, niektórych nadto kategorycznych ocenach działaczy przeszłości. Zawsze jednak badacz zwyciężał i nawet do opublikowanych w latach pięćdziesiątych książek czytelnik sięgnie i dziś, bo każda z nich

przynosi nie tylko oceny i interpretacje zdarzeń - te mogą podlegać dyskusji i zmianie - lecz mnóstwo nowego materiału źródłowego. By się o tym przekonać, wystarczy sięgnąć choćby do *Konspiracji galicyjskich 1831-1845* (Warszawa 1950), czy nawet najwięcej budzącej sprzecznych uczuć *Sprawy włościańskiej w Powstaniu Styczniowym* (Wrocław 1953). Sam Autor zdawał sobie z tego doskonale sprawę i, co więcej, dawał temu wyraz na piśmie, nie strojąc się nigdy w pióra wiecznego opozycjonisty. Miał też odwagę - wbrew temu, czego po nim oczekiwano, kiedy epoka komunizmu runęła - wyrażać się krytycznie o dwudziestoleciu międzywojennym i wspominać o szoku, jakim była dla społeczeństwa klęska wrześniowa, a także przyznawać się do pożytków wyniesionych z przyswojenia sobie z konieczności podstaw teorii marksistowskiej.

Mimo, iż główne dzieło swego życia - książkę o Powstaniu Styczniowym (1 wydanie Warszawa 1972) - poświęcił czerwonym, a więc inspiratorom insurekcji, był w gruncie rzeczy pozytywistą w każdym calu, potrafił też wyciągać maksymalne korzyści z sytuacji, jaką stworzył w Polsce układ jałtański. Korzyści nie w sensie materialnym, lecz pożytku dla uprawianej dyscypliny. Zawarcie umowy pomiędzy Polską Akademią Nauk a Akademią Nauk ZSRR w krótkim okresie "odwilży" chruszczowowskiej zaowocowało następnie długotrwałą współpracą z historykami i archiwistami radzieckimi, której efektem było 25 tomów wspólnej serii pt. „Powstanie Styczniowe. Materiały i Dokumenty”, serii, w której ujrzały światło dzienne bezcenne dla dziejów Polski źródła, przede wszystkim całość dokumentów proveniencji powstańczej, jaką zdołano w tym czasie zgromadzić, następnie najtajniejsza z tajnych korespondencja namiestników Królestwa Polskiego z carem, wreszcie pełny zbiór prasy tajnej, który tylko pod szyldem polsko-radzieckim mógł się w PRL-u ukazać drukiem bez ingerencji cenzorskiej, i wiele, wiele innych nieznanych dotąd dokumentów. Współpracę tę ogromnie cenił i kontakty z badaczami rosyjskimi utrzymywał do końca życia. Popierał gorąco wszelkie ich inicjatywy, a więc z jego inspiracji ukazała się w Państwowym Wydawnictwie Naukowym monografia Jurija Sztakelberga poświęcona sfragistyce powstania styczniowego (*Pieczęcie Powstańcze 1863-1864*, Warszawa 1988), którą poprzedził krótką

przedmowa, podobnie jak wydany dwa lata wcześniej Dziennik więźnia 1862 -1863, spisany przez trzymanego w twierdzy modlińskiej Pawła Ogorodnikowa. Niestety, z powodu trudności finansowych nie ukazały się już drukiem - przygotowane z rękopisu odnalezionej w Moskwie przez J.I. Sztakelberga dla wydawnictwa PAX - *Tygodnie (Siedmicy)* Mikołaja Pawliszczewa, których edycji był Profesor również gorącym orędownikiem.

Znawca epoki i jej źródeł gromadził też własne archiwum, do którego z pewnością sięgać będą Jego następcy i biografowie. Interesował się - rzecz jasna - Hieronimem Kieniewiczem, uczestnikiem „spisku kazańskiego”, jednakże publikując szkic historyczny o rodzinnych Dereszewiczach (Wrocław 1986) oraz pamiętniki swego Ojca Antoniego (*Nad Prypecią*, Wrocław 1989) nie upiększał rodzinnych tradycji, nie krył więc, na przykład, konfliktów istniejących na tle stosunku do stryja-emigranta i jego syna - rozstrzelanego w Kazaniu 1864 r. „buntownika”, a zdziwionym interlokutorom wyjaśniał bez żenady, iż zainteresowań ruchem niepodległościowym wcale nie wyniósł z domowych pieleszy. Nawet poruszając się na gruncie najbliższym sercu pozostawał nadal historykiem, który ceni przede wszystkim fakty i nie dostosowuje ich do jakichkolwiek, choćby najbardziej wygodnych interpretacji. Krytyczne spojrzenie na przeszłość - w tym także rodzinnych Dereszewicz, w których sam miał się wkrótce przekonać, jak wygląda prawdziwe oblicze konfliktów klasowych i narodowościowych, ile kryje w sobie zadawnionych urazów i jak wyzwala w ludziach najniższe instynkty i bezmiar okrucieństwa - harmonijnie współgra z pamięcią o szczęśliwym dzieciństwie w przepięknym kresowym dworze. Podobnie jak w wypadku głęboko przeżytej kłęski 1939 roku, starał się niczego nie zapomnieć i jak najwięcej zrozumieć. W jednym z wystąpień publicznych mógł zacytować z dumą słowa swego Ojca, który - gdy w roku 1918 przyszło mu radykalnie zmienić tryb życia w niepodległej Polsce - miał się - ku zdumieniu słuchaczy - wyrazić pełną aprobatą o nowej sytuacji, kiedy to wprawdzie „stracił ojcowiznę, ale odzyskał ojczyznę”.

Wiktorja Śliwowska